

Czy media deprawują naukę?

Pytanie tytułowe jest metaforyczne. Ale odpowiedź twierdząca. Nie chciałabym jednak uprzedzająco sugerować, że nauka ulega deprawującemu działaniu mediów – to wymagałoby badań. Spróbuję rzecz oświetlić od strony owego działania, tj. z perspektywy mediów, do czego czuję się uprawniona z racji parania się przez kilka dziesiątków lat popularyzacją nauki w różnych mediach (radio, tygodniki, miesięczniki, ostatnio Internet).

Wyznawszy powyższe, muszę uczynić dygresję i stwierdzić, że popularyzacja oraz publicystyka naukowa, jak określamy mówienie oraz pisanie przez dziennikarzy nie tylko o wynikach badań uczonych, ale o sprawach organizacji badań, ich finansowania, kondycji placówek naukowych itp., zespoliły się w jeden gatunek medialny, co przynosi gorsze i lepsze owoce. Dodam, że dziennikarze zajmujący się nauką długo przekonywali uczonych o zasadności wypowiedziania się przez nich w owych kwestiach ogólniejszych, czyli do wyjścia poza ściśle pojmowaną rolę pośrednika między uczonymi i resztą społeczeństwa, który tego, co mu uczeni mówią nie komentuje, a tylko przekazuje, tłumacząc ewentualnie na język zrozumiały dla niespecjalistów (co nie raz narażało na zarzut wulgaryzacji). Debaty na ten temat toczyły się w latach 60. i 70. XX w. podczas licznych spotkań organizowanych przez Klub Dziennikarzy Naukowych przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, który był wtedy najliczniejszym z kilkunastu skupiających dziennikarzy rozmaitych specjalności.

Zamierzchłe te spory między światem nauki i częścią środowiska mediów przypominam dlatego, że chcąc pokazać medialne determinanty sytuacji etycznej w nauce, trzeba osobno omówić popularyzację, osobno publicystykę, gdyż nie są pod tym względem sobie równe.

Pokusy w popularyzacji

Media nieuchronnie fałszują obraz świata. Niezależnie od dobrej lub złej woli autorów przekazów. Z powodu konieczności selekcyjonowania lawinowo i coraz szybciej napływających informacji. Dokonywanie tego wymaga umiejętności rozróżniania informacji istotnych i drugorzędnych lub błahych, czyli najogólniej mówiąc wiedzy o świecie – większej, niż ma ją odbiorca, no i wspomnianej dobrej woli, żeby odbiorcy pokazywać rzeczywistość możliwie mało zafałszowaną. Wymieniam te oczywistości, ponieważ często zapominamy o tym, że autopsja w naszym doświadczeniu zajmuje coraz mniej miejsca, a wypełnia je właśnie przekaz medialny.

W odniesieniu do nauki tak jest od dawna, tak było może zawsze. Wiedzę o osiągnięciach uczonych nieuczenni czerpali z drugiej ręki. I długo nazywaliśmy ten przekaz popularyzacją, gdyż, jak wspominałam, polegał głównie na informowaniu o rezultatach, w mniejszym stopniu o autorach badań, czasem o okolicznościach ich pracy.

Współczesne media także popularyzują naukę, ale dokonując koniecznego, coraz trudniejszego, wyboru, o czym odbiorcom powiedzieć, co, choć równorzędne merytorycznie, pominąć

stwarzają sytuację, w której badacz, autor interesujących wyników, zdany jest na utrzymywanie dobrych stosunków z dziennikarzami. Jeśli kilka razy odmówi wystąpienia w telewizji lub radiu albo udzielenia wywiadu gazecie, może zostać skazany na społeczny niebyt i będzie musiał zadowolić się popularnością uzyskaną we własnym środowisku, co dzisiaj nie wystarcza do pełni kariery.

Interesujące byłoby zbadanie, czy przy wyborze tematu obecny jest motyw „medialności” i jakie miejsce zajmuje pośród innych motywów. Mówiono o tym parę lat temu na konferencji FNP z cyklu „Fundacji dyskusje o nauce”, konstatując przypuszczalną obecność takiego motywu, która sama w sobie jest czymś naturalnym, może jednak stawać się czynnikiem deprawującym w miarę przybierania na sile wpływu mediów na życie zbiorowe, więc i na sferę nauki.

Myślę, że na opisywaną tutaj relację: media – nauka można także spojrzeć z drugiej strony, tj. z perspektywy nauki. Jest ona odporniejsza na niezawinione deformacje, a także zdarzające się w przekazie medialnym manipulacje, niż inne sfery jednostkowej i społecznej aktywności, dlatego że jej istotę stanowi poszukiwanie prawdy (poprzestańmy na tej uproszczonej definicji) wytwarzające u badaczy rzeczywistości większą niż u innych wrażliwość na fałsz i pozór, a także dlatego, że posługują się oni metodami, w które wpisane są powtarzalność eksperymentów i weryfikacja wyników przez różne zespoły. Zdarzają się nierzadko fałszerstwa na mniejszą i większą skalę, ale środowisko rychło je wykrywa i piętnuje. Myślę także, że to środowisko jest bardziej niż inne odporne na pokusy stwarzane mu przez media, bo będąc wspólnotą międzynarodową jest mniej łakome lokalnego poklasku, co nie uwalnia od pokus – również medialnych (media są dziś wszędzie takie same) w owej szerszej światowej skali. Wymienione cechy nie wpływają jednakże, jak się zdaje, na media, nie stanowią determinanty ich poziomu etycznego, choćby w relacjach z nauką. Niestety.

Pułapki publicystyki

O wiele silniejsze pokusy (niż z popularyzacją) wiążą się z publicystyką naukową, a dokładniej z publicystyką w ogóle, jako że nie ma już dziennikarskich specjalizacji (poza sportem i muzyką). Publicyści komentują, czyli oceniają przedmiot swojego zainteresowania, co, jak widzimy codziennie, miewa skutki decydujące o losie osób i przedsięwzięć. O ile stosunkowo łatwo sprostować błędy popularyzatora (inna rzecz to zamieszczanie sprostowań, czego media starają się nie robić), z komentarzami publicysty można jedynie polemizować, gdyż są opiniami, do których dziennikarz ma prawo i na to prawo się powołuje.

Dawniej, kilkadziesiąt lat temu, dziennikarze zajmujący się nauką baczli pilnie, by nie zasłużyć na miano źle przygotowanych do tego zajęcia, takich, co upraszczają zagadnienia, o których rozmawiają z uczonymi, wykrzywiają proporcje między kwestiami podstawowej wagi i detalami itp. Takie miano zamykało im drzwi profesorskich gabinetów. Od tego czasu sytuacja się zmieniła – to dziennikarze mogą zamknąć drzwi studia telewizyjnego i łamy gazet przed każdym. I zrobią to z czystym sumieniem, poprzestając na najbardziej lakonicznej informacji o jakimś zdarzeniu czy o jakimś problemie w sferze nauki, a poświęcając wiele czasu i miejsca temu, którego animator zaskarbił sobie ich przychylność albo zdołał atrakcyjnie zaprezentować swoje badania i siebie samego, choćby jego wypowiedzi dotyczyły rzeczy mniej ważnych, atrakcyjnie wedle dziennikarskich wyobrażeń o tym, co pociąga odbiorców, które bardzo często bywają mieszaniną własnych gustów i mówień zaczerpniętych z leksykonów medioznawstwa.

Publicyści kuszą więc dużą obecnością w mediach i straszą obojętnością, czyli nieistnieniem w społecznym obiegu informacji. Liczenie się z jednym i drugim jest dzisiaj stałym elementem kondycji każdego, komu na obecności w tym obiegu zależy. Nikt taki, również uczeni, nie może po prostu z niej zrezygnować, powiedzieć sobie – liczą się dla mnie oceny kolegów z całego świata – o media mogę się nie troszczyć, dlatego że powinnością uczonego jest udzielanie tego, co osiągnął, innym – społeczeństwu, a nawet powiadamianie społeczeństwa, czyli, mówiąc trywialnie, podatników, co robi za ich pieniądze. Może się z tej powinności wywiązywać tylko za pośrednictwem mediów. Pokusa uległości wobec ich wymogów staje się swego rodzaju pułapką. Nie jedyną, ale główną, z której wywodzą się wszystkie pozostałe medialne determinanty sytuacji etycznej w nauce.

Niemożliwe zadanie

Jeśli rozważamy tę sytuację, to warto pamiętać, że jej elementem jest pełnienie przez uczonych przywództwa intelektualnego wobec ogółu obywateli, którzy się tego po nich spodziewają. Tę rolę ludzie nauki pełnią jako część warstwy inteligenckiej, ciągle u nas obecnej, mimo rozmaitych oznak malejącego jej znaczenia i mimo wieszczów rychłego zmierzchu ze strony wielu publicystów. Mniej ważne zresztą dla niniejszych uwag, do jakiej warstwy społecznej będziemy w przyszłości zaliczać uczonych, do jakiej kategorii działań wpisujemy naukę – pewne jest, że jej znaczenie się nie zmniejszy, a wzrośnie.

Tak samo oczywista jest potrzeba budowania „społeczeństwa wiedzy”, jak to określają socjologowie. Uczeni mają tu pierwszorzędne zadania: pomnażać zasoby wiedzy i sprawiać, by korzystały z nich jak najszersze kręgi. Nie myślę teraz o korzyściach praktycznych wynikających z zastosowania w życiu wyników badań, ale o tym, że w społeczeństwie wiedzy powinna rosnąć liczba ludzi uczestniczących w rozwoju nauki. Naturalnym procesem powiększania tego uczestnictwa jest doskonalenie edukacji i obejmowanie najwyższymi jej szczeblami dużej liczby młodzieży.

Zastanawiając się nad rolą mediów, myślę przede wszystkim o uczestnictwie świątliwych obywateli w „dyskursie wewnętrznym” nauki, poprzez który nauka się rozwija. To uczestnictwo może być bierne, polegające na tym, że owi świątliwi obywatele dowiadują się o głównych pytaniach, jakie stawiają aktualnie przedstawiciele głównych nauk, o metodach, jakimi starają się dojść do odpowiedzi i o hipotetycznych, cząstkowych jeszcze odpowiedziach, a także o sporach, jakie między sobą toczą, dotyczących przedmiotu badań. Takie uczestnictwo decyduje o poziomie i dynamice życia umysłowego. Jeśli krąg uczestników się poszerza, polepsza się kondycja nauki i intensyfikuje jej rozwój, bo większa jest pula talentów, zainteresowań i ambicji, żyźniejsza gleba intelektualna oraz duchowa.

Jaka jest w tym rola mediów? Zawsze podstawowo ta sama: informować o tym, co dzieje się w laboratoriach i w bibliotekach, gdzie pracują uczeni. Ale informować nie tylko wtedy, kiedy dokonano odkrycia lub nowatorskiej interpretacji w humanistyce, lecz przybliżyć odbiorcom, jak do tego doszło i dlaczego dojść mogło, czyli wtajemniczać w owe dysputy i spory wymienione wyżej, w przeżycia towarzyszące pracy badawczej.

Jest to, oczywiście, przede wszystkim zadanie samych uczonych, ale bez pośrednika nie da się go wykonywać. Dostyc długo, jak mi się zdaje, panowało w środowisku naukowym przekonanie, że oznajmiać szerszemu audytorium należy prawdy „gotowe” (w jakimś, dłuższym lub krót-

szym momencie, bo ostatniego słowa w nauce nie ma), to co trafia do podręczników i jest aktualnie „do wierzenia podane”.

Dość dawno już jednak to stanowisko się zmieniło. Uczni dzielą się swoimi nadziejami i wątpliwościami, radościami i niepokojem, poczuciem satysfakcji i goryczą porażki, jeżeli... mają się z kim dzielić, poza własnym środowiskiem.

Jest to potrzebne, bo przeżycia uczonych, ich aspiracje mogą stanowić wzór do naśladowania, mogą inspirować intelektualny wysiłek, mogłyby po prostu być budujące. Dostępne są niezbyt licznym czytelnikom niezbyt licznych czasopism popularnonaukowych i skąpej widowni rzadko nadawanych późną nocą popularnonaukowych programów telewizyjnych oraz audycji radiowych. I tam jednak odbiorca dostaje zwykle wspomniane „prawdy gotowe”, czyli informacje o nauce i o ludziach, którzy ją uprawiają, nie zyskując poczucia, że uczestniczy w życiu umysłowym, toczącym się gdzieś dalej i wyżej.

Jeśli dowiaduje się o dyskusjach i sporach, to wyłącznie w kontekście politycznym lub ideologicznym, który przesłania obraz problemu naukowego i angażuje zupełnie inne emocje niż chęć poznania świata, a w dodatku budzi podejrzliwość wobec tego, co robią uczeni, skoro w tych samych mediach słyszy/czyta, że może to być moralnie wątpliwe, zaś to, co ewidentnie dobre nierzadko służy tylko wybranym.

Publicystyka naukowa (pozostajmy przy tym określeniu) jest trudna. Trudniejsza niż komentowanie tego, co dzieje się w służbie zdrowia, budownictwie czy kulturze artystycznej. I nie dlatego, że przystępując do niej, trzeba zyskać jakieś takie pojęcie o zagadnieniu, którym zajmuje się dany uczyony czy dana placówka badawcza. Dlatego że dziennikarz styka się z przedstawicielami grupy w społecznych mniemaniach wyróżnionej. Jeśli dziennikarstwo jest zawodem zaufania społecznego, to uprawianie nauki – najczęściej połączone z nauczaniem – jest także takim zajęciem. Obie strony relacji oczekują wzajemnie uwzględniania tego faktu. Publicysta wie, że nie jest w stanie wypowiedzieć się merytorycznie o przedmiocie pracy uczonego, ale czuje się uprawniony do oceniania płynących z niej korzyści i ewentualnych zagrożeń (w ocenie publicysty) i bywa, że radykalizmem ocen rekompensuje sobie ową „merytoryczną pokorę”.

Jak pokazuje moje zawodowe doświadczenie, dawniej krytyczne skłonności, jeśli przeważały nad funkcjami pośrednika między nauką i społeczeństwem z jednej, a między nauką i władzą z drugiej strony, prowadziły do zaniechania po prostu publicystyki naukowej, dlatego że środowisko rządziło dziennikarza, który naruszył parokroć niepisane konwencje wzajemnych kontaktów, swego rodzaju ostracyzmem.

Dzisiaj jest inaczej. Media wzrosły w siłę, publicystyka naukowa jako dziennikarska specjalność właściwie zanikła. Nauce potrzebna jest promocja w mediach i ta potrzeba może stawać się czynnikiem deprawującym, bo skłaniającym do ustępstw i obniżania wymagań merytorycznych odnoszących się do przekazu.

Znaczenie w tych zjawiskach i procesach ma szybkość przekazu – w obie strony: do opinii publicznej i do decydentów, która warunkuje szybkość reakcji nań, zwłaszcza ze strony tych drugich. Jeśli więc zachodzi potrzeba wpłynięcia na jakieś sygnalizowane zamierzenie, nie ma możliwości przedstawienia jej inaczej niż skrótowo i w wersji bezdyskusyjnej. Ta okoliczność, jak i okoliczności wyżej przedstawione, wywołują stopniową erozję takich cech środowiska naukowego, jak cierpliwość w dyskursie, także merytorycznym, zastępowanie hipotez przez

twierdzenia (na użytek i mediów, i decydentów), „przeczerwanie” prognoz, żeby przyspieszyć pożądane decyzje, łudzenie nadziejami w tym samym celu.

Splendor wizytówek

Prawie co dzień oglądamy w telewizji albo słyszymy przez radio wypowiedzi profesorów. Prawie co dzień czytamy w gazetach artykuły podpisane profesorskimi nazwiskami. Występują specjaliści z różnych dziedzin. I wypowiadają się o różnych sprawach – etykietowani przez dziennikarzy tytułem naukowym, na co dziennikarze się powołują, niechby nawet tego nie formułowali *expressis verbis*.

Przedstawiciele nauk przyrodniczych (*hard science*) pytani bywają zwykle przy okazji nagród Nobla albo odkryć w genetyce czy fizyce atomowej, co pozwala zasadnie i jednoznacznie użyć autorytetu, jakim się cieszą w społeczeństwie.

Jeśli jednak dziennikarz pyta uczonego genetyka o kwestie *in vitro* bądź aborcji – każda wypowiedź, nawet najściślej specjalistyczna, nabiera podtekstu światopoglądowego, a często wręcz politycznego. To samo z głosem fizyka o tarczy antyrakietowej. Mimo to przedstawiciele nauk przyrodniczych i ścisłych są w lepszej sytuacji niż humaniści, bo ich naukowy autorytet bywa przez media wykorzystywany rzadziej. Skoro jednak do tego dochodzi, jest na szwank narażony bardziej. Z dwóch trudnych do rozdzielenia powodów. Najpierw dlatego, że w potocznej świadomości tkwi przeświadczenie, iż ci pierwsi bardziej precyzyjnie wypowiadają swoje zdanie (o czymkolwiek), nie pozostawiając miejsca wątpliwości odbiorców ani też własnym interpretacjom indagujących dziennikarzy oraz odbiorców, w każdym razie pozostawiając tego miejsca niewiele. Następnie zaś, ponieważ w kręgach elit rządzących mało jest przyrodników, a humanistów sporo i przyuczyliśmy się już (media nas przyuczyły) kojarzyć niektórych z, choćby grubo zarysowanymi, podziała mi politycznymi. Można, jak myślę, powiedzieć, że autorytet pierwszych bywa „uszkodzony” głębiej, a drugich częściej, ponieważ często wypowiadają się na tematy ogólne, więc jak obywatele po prostu, zaś uwierzytelniają to profesorskie wizytówki.

Z tego, co dotąd powiedziałam, nie wynika jeszcze szkoda najważniejsza, tj. obniżanie autorytetu całego środowiska naukowego i akademickiego zarazem (trzeba je oddzielnie wymienić, jakkolwiek w sporej części się pokrywają, bo obniżanie autorytetu nauczycieli akademickich skutkuje dodatkowo u ich studentów).

Być może wyolbrzymiam, jednak z perspektywy doświadczeń dziennikarskich zjawisko jawi się wyraźniej. Publicyści zupełnie świadomie uciekają się do autorytetów naukowych dla wsparcia formułowanych opinii, a nawet tylko spostrzeżeń. Rzadko bywa to cynicznym pragnieniem znalezienia owego wsparcia dla tezy, o której sam autor wie, że jest wątpliwa. Zwykle jest, chwalebny w istocie, szukaniem argumentów mocniejszych niż zdanie dziennikarza-dyletanta, przy głębokim przekonaniu, że zdanie to jest słuszne. Niebezpieczeństwo polega na tym, że bardzo szybko powstaje nawyk takiego szukania autorytetów osobowych nie dla poznania poglądów uczonych i upowszechnienia ich, ale dla opatrzenia dziennikarskiego przekazu profesorską wizytówką.

Z perspektywy nauki i środowiska naukowego jest to pokusa taka sama jak wcześniej opisane, pokusa zarekomendowania badań, autorów, placówek (występują przecież wizytówki instytucji naukowych), poinformowania o nich społeczeństwa, a firmowanie przy tym jakichś poglą-

dów, z którymi uczony może nie całkiem się zgadza, uchodzi uwadze albo jest wypychane ze świadomości. W dobie inflacji autorytetów, na co powszechnie narzekamy, warto o takich pokusach wiedzieć i pamiętać.

Dwa pytania

Pierwsze pytanie, jakie wynika z tego, że współczesne media stanowią istotną determinantę sytuacji etycznej w nauce, jest oczywiste: Czy i w jakiej mierze uczeni odpowiadają za to, co z ich wypowiedziami robią media? Naturalnie nie idzie o proste manipulacje – przeciw tym można zaoprotestować, można odwołać się do sądu. Prawem dygresji przypomnę, że dziennikarze nauczyli się czynić konieczne zastrzeżenia, wtedy gdy informują odbiorców o osiągnięciach naukowych, które mogą prowadzić do wielkich pożytków – zwalczenia nieuleczalnych chorób – albo do wielkich zagrożeń. Jest to sakramentalna formułka: „...ale droga jeszcze daleka”, zdejmująca z uczonego część odpowiedzialności za skutki, jakie w głowie odbiorców może wywołać wiadomość.

Jaka jest jednak odpowiedzialność za owo opisane wyżej nadużywanie autorytetu? Można posłużyć się analogią do pytania: Czy uczony odpowiada za wykorzystanie wyników jego badań. Istnieją tu różne opinie, również taka, że wiedząc lub tylko przewidując możliwość ich wykorzystania w złym celu, uczony powinien wstrzymać się od badań. Abstrahując od tego, jak mało realne jest to oczekiwanie, wolno chyba udzielić takiej właśnie odpowiedzi, tym bardziej że to, co z głosem uczonego mogą zrobić media, nie bywa bardzo dramatyczne, choć nie należy lekceważyć wprowadzania zamętu w publiczną debatę i w powszechną świadomość.

Drugie pytanie dotyczy źródeł niepokojącej sytuacji etycznej w nauce – jak i zresztą w innych sferach zbiorowego działania. Czy podstawowe normy regulujące ludzkie postępowanie bywają przekraczane świadomie – ze słabości, jaka nie pozwala oprzeć się pokusom albo z cynicznego wyrachowania, czy też dlatego, że zostały w jakimś stopniu zapoznane? A może to przekraczanie jest, czy bywa, racjonalizowane, tj. usprawiedliwiane, np. okolicznościami (konkurencja, rosnące tempo publikowania, nieetyczne otoczenie nauki)? Zbadanie tego byłoby, jak myślę, interesujące, a mogłoby być użyteczne.

Odpowiadając na tytułowe pytanie twierdząco, nie należy pocieszać się tym, że media deprawują wszystkie sfery naszego życia i wiele środowisk. Ludzie nauki pośród swoich powinności wobec ogółu mają i tę, żeby szukać sposobów na zminimalizowanie tego zjawiska oraz znajdowanie przeciwko niemu możliwie skutecznej broni. Rezultaty poszukiwań powinni upowszechniać.

Do media corrupt science?

Mass media, that are the main source of information about the world, have two aspects of presenting science - popularisation and publicism. Popularisation conveys information about the results of scientific research and their authors. Publicism are the journalists' views and opinions about the problems pertaining to science and to scientific communities. Both aspects of media influence expose scientists to the temptation of conformism, as media can consign scientists to public invisibility. Among the motives of scientists, there appears the motive of being media darling. Another danger, or real threat, is the abuse of the scientists' authority to support ideological or downright political stances and statements. The current duty of the media to science, and also to the society, is to intellectually engage the widest range of recipients in the debate on issues of concern to scientists, to show the experiences accompanying scientific research and, by doing so, to stimulate intellectual life.

Key words: publicism, invisibility, conformism